Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 49. Poznań, dnia 7. Grudnia. 1840.

Literatura zagraniczna.

B Ö R N E.

1) Heinrich Heine über Ludwig Börne. (Hamburg 1840.)
2) Börne's Leben von Carl Gutzkow. (Hamburg 1840.)

(Ciąg dalszy.)

Chcąc dać rys życia Börnego, zastanowimy się tylko nad dziełem Gutzkowa, nie rozbierając Heinego, z którego dość będzie przytoczyć jeszcze tylko jedno miejsce, aby przekonać, że dzieło to nie zasługuje nawet na rozbiór obszerny.

Wiadomo z jakim zapałem przyjmował naród niemiecki w r. 1832. wychodzców polskich. Przyjmował on ich z takiém samém uczuciem w nieszczęściu, jak niegdyś wojsko polskie w szczęściu pod Wiedniem. Jeżeli nie więcéj to sama gościnność i miłość bliźniego była do tego powodem. Panu Heinemu i z tego drwić się zachciało, aby styl swój okrasić i w oczach ludzi bez serca i duszy uchodzić za dowcipnego. Oto jego słowa:

„My Niemcy byliśmy gotowi powstać, a to nie z oburzenia, nie z potrzeby, ale z miłosierdzia, z sentymentalności i rozczulenia nad gośćmi naszymi. Serca nasze pełne żądzy działania biły głośno, kiedy przy kominie powiadali nam o swém życiu, a niemieckie matki załamywały ręce, słysząc o ludożercu, który codzień na śniadanie zjada troje polskich dzieci, surowo, z octem i oliwą. Najbardziéj jednak rozczulały się nasze dziewice, gdy w blasku księżyca, w objęciach polskich leżąc męczenników, ubolewały i płakały nad ich losem. Bo to nie lekkomyślni francuzi, co przy takiéj sposobności żartowali tylko i śmiali się, nie, te łzami oblane wąsy (larmoyanten Schnurrbärte) miały coś przemawiającego do serca, do uczucia, i trudno wystawić sobie rozczulenie, z jakiém nasze niemieckie dziewice i kobiety zaklinały swych narzeczonych i mężów, aby jak najprędzéj zrobili powstanie — zum Besten der Polen.

Z oburzeniem odwracamy się od autora wyśmiewającego się z najświętszych uczuć gościnności, zachowując sobie tylko kilka uwag w porównaniu jednego z drugiém dzieła, w końcu artykułu. Przechodzimy do opisu życia Börnego:

Życie Börnego — mówi Gutzkow oprócz ciekawości, jaką obudzić może samo przez się — jest z wielu innych względów największéj uwagi godne. Wyobraża nam ono stósunek geniuszu i charakteru do naszego czasu. Stósunek Börnego do literatury postępu był taki, iż chcąc ją w swéj całości zgłębić, trzeba myśli jego poznać, które bez poznania jego charakteru zbadać jest niepodobno. Oprócz nadzwyczajnego wpływu, który Börne wywierał na rozwinięcie zasad politycznych w Niemczech, zajął zarazem, wywierając wpływ ten w tak genialnéj formie i mowie i w literaturze stanowisko, będące w niéj epoką. Börne doszedł do tego, nie wiedząc sam, jakim sposobem. Dotąd albowiem byliśmy przyzwyczajeni, że urzędnik tylko lub uczony w strony lutni uderzał, aby cześć kobietom, wiośnie lub winu nucić; studenci zapominając o nauczeniu się odpowiedzi na zapytania examinatorów, pisali poemata, wybierali sobie powołanie poety i pisarza wyłącznie, wydawali gazety, noworoczniki i zakładali towarzystwa literackie. Wszyscy od Göthego aż do najlichszego pismaka artykułu do noworocznika, obrali sobie cel estetyczny, leżący w granicach oznaczonych literatury. Od roku 1815. znalazło się jednak wielu mężów, którzy nie pisząc bezpośrednio dla literatury, pomimo tego wielki wpływ na zasady jéj wywarli i granice jéj rozprzestrzenili. Takimi byli n. p. Arndt, Görres, Steffens. Zajmowali się oni jednak zwykle tylko historyą, filozofią, lub innemi przedmiotami naukowémi, nie mieli oni w swym stylu i wyrażeniu tego ziarna, z którego nowa epoka literatury mogła wykwitnąć. Börnemu udało się zostać niemieckim klassykiem, mimowolnie. Krytykował on poetów, aktorów, filozofów i publicystów swego czasu, Jean-Paulizm robił jasnym i przezroczystym, pisał satyry i rozprawy literackie, li tylko by politykę

dozwoloną szatą pokryć. Mówił o Szyllerze i Göthem a myślał o Montesquieu i Metternichu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Sny i zbudzenia.

I.

Byłem w błogim śnie,
Zbudziliście mnie.
Śniło mi się temu chwila,
Żem skrzydełka miał motyla;
Świat był kwiatem — w jego łonie
Grały tęcze — wiały wonie.
A jam lekkie wiosny dziecie,
To nad kwiatem — to na kwiecie
Bujał; pijąc z jego czary
Wonne rosy i nektary.

Tak marzyłem. — Któż zdradziecko
Krzyknął na mnie: »zbudz się dziecko!«
I na świata mego skronie,
Czarodzieja laską skinął;
Sen mój zginął, — świat mój zginął,
Gdzieś po dzikiéj błądzę stronie.
Próżno do snu składam oczy,
Nie powraca sen uroczy;
Już nie wróci — nie,
Zbudziliście mnie.

II.

Słodkom także był,
O przyjaźni śnił.
Co za roskosz na tym świecie,
Gdzie samotne więdnie kwiecie;
Gdzie za śmiechem tuż łza goni;
Dłoń, w przyjaźnéj cisnąc dłoni,
Z zestrzeloną myślą społem;
Z podniesionèm w niebo czołem;
Wśród piorunów — wichrów — prądu
Do wspólnego drzeć się lądu?

Tak marzyłem — przyjaciele!
Ubieżało chwil nie wiele,
Gdzież jest sen mój w téj godzinie?
W pośród burzy i powodzi,
Ten rozpaczą serca chłodzi;
Ten dla siebie tylko płynie;
Ten tonące szczątki łowi.
Płyńcie zdrowi! — płyńcie zdrowi!
I tyś rozchwiał się,
Mój ty złoty śnie.

III.

O! błogi i ten,
O miłości sen.
Dedalowych mocą skrzydeł,
To wśród cierpień — to mamideł,
Po nad ziemię — po nad chmury,
Do góry lecim, do góry.
Już we mgławym gdzieś padole
Nikną kolce — troski — bóle;
Już słyszymy gdzieś w Edenie,
Rajskie pieśni — rajskie pienie . . . .

Gdy, w półsennym tym zachwycie,
Jedna chmurka na błękicie,
Jedno słabe wiatru tchnienie,
Jedno nie — a nasze skrzydła,
I kupione łzą mamidła,
I czarowną pieśń w Edenie,
Lodowate chłonie morze.
Śnie miłośny — żal się Boże!
Nie złudzisz ty mnie.
Żegnam — żegnam cię.

IV.

Jeszcze jeden sen,
O! nie przeszedł ten.
Sen to straszny — jakby w nocy,
Na smętarzu o północy;
Sen, który mnie jękiem trwoży;
Krwawe widma, wkoło mnoży;
Ssie jak upiór, krew w mém łonie;
Dławi gardło — pali skronie.
Niktże z nieba — niktże z ludzi
Z tego snu mnie nie obudzi!

O! wstyd — hańba w wieku sile,
Przemarnować uczuć tyle;
O! wstyd — hańba! — Jabym przecie
Jeszcze kochał — jeszcze wierzył;
Jabym może i uderzył
W gęśl Bojana — a po świecie
O rycerskiéj nucąc chwale,
Znalazł jeszcze przy zapale,
Szczęście w nowym śnie;
Lecz . . . któż zbudzi mnie!

J. N. Jaśkowski.

Nauki przyrodzone.

Dla czego umiejętności przyrodzone winny być głównym przedmiotem wiedzy ludzkiéj?

Przez T. Mateckiego.

(Dalszy ciąg.)

Przecież, jak skoro samowiedz ta siebie w nas leży, bynajmniéj jeszcze ztąd nie wypada, ażebyśmy ją już dla tego nawzajem sobie udzielać mogli, bo sami dla siebie, a nie dla innych siebie wiemy, bo zbywa nam

dotąd na stósownéj mowie, któraby ją wystawić mogła, bo dalecy jeszcze jesteśmy od jasnego i dokładnego wyłożenia pojedyńczych zgłosek świata, zlewających się w wyraz, jakim jest planeta ziemia, jakim jest tém samém człowiek w stósunku do całości, do wszech świata.

Że zaś samowiedz ta siebie, a zarazem wiedza wszystkich ziemskich utworów zlewających się w człowieku, w nim istotnie się znajduje (porównaj pag. 4. wiersz 4. i t. d., a potém pag. 226. Encyclopedie der Philosophischen Wissenschaften v. Hegel. 3te Ausgb.), pokazuje się widocznie ztąd, iż wszyscy czujemy niedostateczność dzisiejszego, choćby też najuczeniéj, najbystrzéj przeprowadzonego tłómaczenia pojawień się ziemskich. Prawią nam n. p. nader uczenie fizyolodzy o poczęciu, wzroście, udoskonaleniu i śmierci zwierząt; a przecież któż z nas nie uczuł, że pomimo ogromnych stósów dzieł, o tymże przedmiocie traktujących, dotąd jeszcze najgłówniejszéj rzeczy nie wykryto, to jest tego jak, czyli przez jaką to moc czy siłę wewnętrzną zwierzęta poczynają się, rosną i t. d. Uważajmy daléj rozwinięcie się n. p. ogromnego dębu z owéj malutkiéj żołędzi, któż z nas nie uczuje owéj już w niéj skoncentrowanéj siły, jakby idei przyszłego dębu; a jednak któż ją z nas mową swoją wyrazi? Zkądże więc czulibyśmy niedostateczność dzisiejszych tłómaczeń pojawień ziemskich, gdybyśmy lepszéj i zupełnéj wiedzy o nich już w nas nie mieli? któryż z ludów i najnieoświeceńszych nie uczuł Twórcy wszystkiego i jemu się nie upokorzył; a jednak czas długi, jak go tłumaczyć nie umiał? Któż z nas nie czuje, co linia prosta, co życie, co światło, co dusza i t. d, a jednak któż z nas dokładny opis tych rzeczy już dzisiaj dać potrafi? Lecz pomińmy przykłady, którychby niezliczenie wiele na poparcie zdania mego przytoczyć można. Widzimy więc, iż samowiedz ta siebie, a zarazem wszystkiego, co tylko do wyrobienia nas wpływa, w całéj zupełności w nas leży.*) Wiem też siebie nie jako ideę tylko lub ciało (materyą), ale jako jednią idei z ciałem (ztąd też mówimy moja idea, moje ciało); boć w tym świecie, który jest, ponieważ nim jest, nic nie jest, coby było samą ideą, albo samą materyą; a gdzie jest idea, tam być musi i materya, a gdzie materya, tam też idea; tak jak Boga od świata na żaden moment oderwać nie można, i na odwrót świata od Boga, bo Bóg światem, a świat Bogiem. Jednią tę idei z ciałem w wyrazie świata (w człowieku) nazywam duszą, w myśli całéj, duchem (Bogiem), który pochłania dusze, jak świat pochłania pojedyńcze wyrazy świata. Przecież duszę tę nie pojmuję jako ideę tylko, jako w myśli mojéj wziętą jednią idei z ciałem, oderwanie od czegoś rzeczywistego, ale jako rzeczywistą jednią idei z ciałem, czyli jako ideę z ciałem razem w jedni.

A tak biorąc wzgląd na to, com wyżéj powiedział, widoczną jest rzeczą, iż żaden inny utwór ziemski, prócz człowieka, duszy mieć nie może; chociaż i w nim jednia idei z materyą jest konieczną. Że zaś te utwory są przejścia następne do człowieka, (c, ch, chr, chrz i t. d.) nie mają samowiedzy, jak już namieniliśmy, przeto też téj jedni idei z materyą w nich osobno nazwać nie możemy, jako ciągle zmieniającéj się, ale ją tylko w ich familijnéj nazwie zarazem wyrażamy.

Ludzie są ciągle i zawsze na ziemi, warunki też ich bycia ciągle i zawsze obecne być muszą, a choć pojedyńczość (pojedynek lepiéj) poczyna się, wzrasta i znika, przecież gdy pojedynek ten zostawia po sobie i z siebie wydaje podobny sobie pojedynek, ogół zawsze ten sam zostaje; ztąd też ziemia z utworami swémi w każdéj chwili czasu ta sama, zawsze jakby nieodmienna. Z téj też to przyczyny gwiazdy, księżyce, słońca i t. d. wydają nam się ciągle témi samémi, chociaż i na nich upojedyńczone utwory ciągle się zmieniają, aby, jak ziemia, i one w każdéj chwili całe znaczenie planety swego w świecie same przez się wymawiały. Postępując tak daléj, wykaże się, iż świat cały równie zawsze ten sam, i jakby nieodmienny, chociaż cząstki jego upojedyńczone wiecznéj zmianie podlegają. A że świat jeden tylko, myśl jego też jedna i Bóg jeden tylko (bo świat, myśl w nim leżąca i jéj autor koniecznie z sobą się łączą, nawzajem w siebie w zupełności całéj wchodzą i jednią tworzą), przeto ten ostatni, jako koniec wszystkiego, jako ostateczny ogół, już sam nie ma przyczyny odmieniania się w całości swojéj tak, jak to czynić przymuszony jest człowiek dla pojawienia całego znaczenia swego w każdéj chwili czasu, jako cząstka całości zmierzająca do wykrycia znaczenia swego właściwego, następnie systemu swego (słonecznego), a wszystkie razem świata systemy słoneczne, do wykrycia znaczenia świata. Podobnie bowiem z odgadnieniem zgłosek wyrazów, ich znaczenia i związku, kończy się zarazem dociekanie myśli, pismém jakiém zawartéj. Bóg więc sam tylko, jako jeden, jako pojedynek jest nieśmiertelny, jest niezmienny, tak jak familie, rodzaje i t. d. utworów ziemskich są nieśmiertelne i niezmienne, gdy przeciwnie każdy pojedynek

*) To wszystko dzisiaj zwykle czuciem nazywają (czy słusznie na inném miejscu odpowiem), a Grecy, czując tę samowiedz siebie, a szukając jéj zewnątrz siebie, natworzyli sobie takie mnóstwo bożków i bogiń, iż każde nieomal pojawienie miało swoje bóstwo osobne.

tych familii i rodzajów ciągle się zmienia, powstaje i kończy.

Bóg jest zarazem skończoną myślą, jak człowiek skończonym wyrazem świata, w tęże myśl wchodzącym; Bóg więc ma tak samowiedz siebie i wszystkiego, cokolwiek tylko do wyrzeczenia myśli téj wpływa; jak człowiek ma samowiedz siebie i wszystkich ziemskich utworów, ich pojawień i t. d. Lecz jeden i drugi nie ma wiedzy téjże samowiedzy, to jest innémi słowy, czuje samowiedz*) tę siebie, ale nie umie jéj sobie powiedzieć.**) Każdy z nich więc dąży do téj wiedzy samowiedzy siebie (do poznania siebie) a tém samém do wiedzy wszystkiego, co do nich zmierza, cobym razem filozofią nazwał. Obydwaj zatém postępują w wyświecaniu siebie, tworzą historyą uczynionych postępów, i nie wątpię razem z pismem świętém, iż z osiągnięciem celu myśl nowa, świat też więc nowy, a koniec obecnego świata nastąpi. (Lecz kiedy, nikt o tém nie wie.) Dla tego słusznie jeden wielki filozof powiedział, iż Bóg przychodzi w człowieku do wiedzy samowiedzy siebie; ale o tyle tylko w orzeczeniu tém miał słuszności, o ile Bóg bez człowieka do wiedzy samowiedzy siebie przyjść nie może; jak podobnie myśli napisanéj nie odgadniem zupełnie, gdy nam na wyrazie weń wchodzącym zbywać będzie; jak też człowiek wtenczas dopiero pozna siebie, gdy poweźmie wiedzę o tych wszystkich ziemskich utworach (zgłoskach), które do wyrobienia jego (brzmienia) służą. Inaczéj mocno się pomylił, jeźli Boga do człowieka zniżył, bo celem człowieka (a więc zarazem Boga jako ogółu) jest tylko on z ziemią do niego należącą, Boga zaś (lecz bynajmniéj człowieka) świat cały, jako do niego tylko należący; jaka różnica bowiem między nieskończenie małą cząstką a jéj całością, między ziemią a całym światem, między pojedyńczym wyrazem a złożoną myślą zachodzi; taka też między człowiekiem a Bogiem, a témsamém między dążnością pierwszego a ostatniego zachodzić musi.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Nie dość za to powiedzieć ma czucie, bo wyraz czucie jest urzeczownionèm słowem czuć, w znaczeniu też swojém wyraża tylko stan subjektu, albo raczéj łączy tylko subjekt z objektem, ale nie jest ani jednym, ani drugim. Jak skoro bowiem wymawiamy czuje, koniecznie pytamy się kto czuje i co czuje. To, co jest zarazem bodźcem, czyli źródłem czynności subjektu, tu więc czucia; i może albo w nas albo zewnątrz nas leżeć czyli wsobowém lub podmiotowém być. To co wsobowe jest więc ową samowiedzą, o któréj mówię. A jak to, co zewnątrz nas jest, choć rzeczywiście i zupełnie dokonane jest, nie każdego z nas podraźni do zupełnego poczucia tém mniéj poznania jego, ale stósownie tylko do wykształcenia naszego (jakże się bowiem n. p. na kwiat wyrobnik, jak czysty literat, ogrodowy, badacz natury, poeta i t. d. zapatruje?); tak też szczegóły samowiedzy naszéj, choć dokonanéj i istotnie w nas wcielonéj, o tyle tylko czujemy, o ile do tego usposobieni jesteśmy. Dla tego też poeta tę samę prawdę opiewa, którę filozof dowodzić usiłuje; bo jakkolwiek pierwszy przestaje na tém, że coś czuje, gdy drugi czując toż samo do wiedzy jego dąży; toć obydwóch przedmiotem to tylko jest, co w nich już jest.

**) Że o Bogu coś podobnego wyrzekłem, przeczuwam, iż nie jeden jakby urażonym czuć się będzie, dla tego winienem słów kilka dodać. Wszakże to sam Bóg, w postaci Boga Syna, powiedział, że Człowiek jest obrazem i podobieństwem Boga, w pozornie smiałém wyrażeniu mojém nic więcéj też nie powiedziałem, jak tylko powtórzyłem słowa Boże, bo podobieństwo to jakości się tylko tyczyć może; co też w całym ciągu rozprawy mojéj jaśnie się pokazuje. Szukajmy też prawdy powiedzianego w nas tylko (co podobna), a dla podobieństwa naszego do Boga (wyrazu do myśli) śmiało coś podobnego i Bogu przypisać możemy. Wszakże człowiek bierze pokarmy w siebie, trawi je, przemienia, przyswaja i następnie to na kość, to na miąż, lub nerw itd. wyrabia; wszakże już w zarodzie swoim do tego, kim ma być, dąży; wszakże tworzy sobie mowę (zważmy na przodków naszych), późniéj filozoficznością swoją tyle zadziwiającą itd. a w tém wszystkiem tak sobie dokładnie postępuje, jak tylko należy; musi więc umieć to wszystko robić, musi mieć wiedzę tego, czyli jak nazwałem samowiedzę. Aleć zbywa mu dotąd na wiedzy téjże samowiedzy. — Człowiek daléj jest taką cząstką względem świata, jakim ogółem jest świat względem człowieka; dusza więc też człowieka (jednia idei z ciałem) jest taką, jakim jest duch świata (Bóg). Dla tego więc i Bóg stworzył ów niezmierzony świat w całéj doskonałości jego; czyli raczéj stał się owym doskonałym światem (a więc gwiazdami, słońcami, człowiekiem itd. itd. co tylko w świecie jest); a jak skoro się tym a nie innym stał, musiał mieć wiedzę tego wszystkiego, czém się stał, samowiedzę. Jakim się zaś w człowieku objawia, takim się w całym świecie objawiać musi, nie ma więc też równie jak człowiek wiedzy téjże samowiedzy; bo gdyby ją miał, byłby tém samém co do jakości innym od człowieka, innym od reszty utworów swoich, byłby więc zewnątrz nich. Gdzież więc? — A przypuściwszy nawet, żeby był zewnątrz nich, cóżby więc robił? — Przez wieki wieków jedno i to samo powtarzał? — albo z upodobaniem (szczególniejszém zaprawdę) przypatrywał się niedoli i bezprawiom, na które dziennie, nie ludzie tylko pojedyńczy, ale całe narody krwawo płaczą? Lecz porzućmy domysly. —

Posiedzenie Bacciarellego malarza.

(Dalszy ciąg.)

Chcąc pomścić nieuwagę hetmana i okazać, jak wiele znaczy Grabowska w téj chwili: »Miłościwy Panie!« rzekła, nie ruszając kroku, »ino brat wasz mógł wam tak śmiałą podawać radę, i gdy do niéj użył aże głosu śmierci, aby ją uroczystą uczynić, kto ino was wielbi i kocha, nie dla siebie żywym językiem będzie w jéj myśli gadał do was, w jéj myśli modlił za wami i trzymał się jéj, jak przykazania.« To mówiąc wyciągnęła rękę z kartą. Król postąpił ku niéj dla odebrania, a Ożarowski, co się na drodze między nią a królem znajdował, musiał się cofnąć opodal i tryumfującą swoją postawę opuścić. Ciche szeptanie Grabowskiéj z królem trwało jeszcze chwil kilka. Dość wyraźnie

zdawała się namawiać Stanisława, by nie każdemu chciał ten tajemny list pokazywać; skończyła podniesionym wyrazem: „Bo przy waszym boku nie jeden zły człowiek zalega znakomite miejsce!« — Ożarowski połknął pigułkę skrzywionym marsem bardziéj, gdy król pismo z rąk Grabowskiéj schował w zanadrze do kamizoli.

Hugo prędki i popędliwy w działaniu, jak każdy, co się stale na jednę rzecz odważy i chce ją gwałtownie dokonać, wiedząc, że w saméj gwałtowności leży nie raz siła wypadku, sunął przed Ożarowskiego i powierniczym tonem jął nalegać na króla, iżby tajemnicy zaniechał. »To, co jest pismem brata do brata, najjaśniejszy panie, niechaj wasza miłość w bratniém zatrzyma schowaniu, w sercu; ale głos prymasa do króla, ale okoliczność ogólna, ale skutek namysłu waszéj królewskiéj mości, niech będą jasne jak słońce! Ja podkanclerzy nie zaprę mego głosu i porady, jaką w tak ważnéj raiłem dobie, i tém ją jaśniéj wypowiem, im prędzéj teraz mogę znaleźć w mém zdaniu przeciwnika.« To mówiąc zmierzył surowém okiem Ożarowskiego. — »Czy tu gabinet narad królewskich?« pytał z ironią hetman. — »Jeżeli waszmości chodzi o gabinety, możemy kazać przeforsztować ten pokój na dwoje, gdy za wielki, aby głos wasz słaby mógł być w nim słyszanym,« odparł z dumą Hugo. »A może téj chwili nie jesteście do rady przygotowani hetmanie? Może nie macie instrukcyi w kieszeni? Do Igielströma nie daleko i otwarta droga, panie Ożarowski. To idź waszmość, ale otwarcie! niech król wie, niech i my wiemy, że tu nie hetman radzić, ale wysoka monarchini organem waszym gadać zamyśla. Krótka tu rada, może długie działanie; ale rada krótka być poczciwym, abo nim nie być.« — »Co?« — »Tak, panie hetmanie, urzędnik mówi do urzędnika, nie Hugo do Ożarowskiego! Burza grozi, lud chce osobnym stanem zostać, oddzielić się od króla i od nas; zostanie władzą, jeżeli władza opuści go i nie poda mu swych ramion!.....« »Co! lud, burzą? Czy nie ten lud, czy nie ta burza grozi królowi panu i nam, mości podkanclerzy, którą ja mam w ręku?« odparł Ożarowski, wyciągając z kieszeni zwitek, »Wielki lud! wielka burza! którą hetman pomieści w kieszeni, któréj się podkanclerzy uląkł, a która już swe głupstwa tłumaczy teraz przed wysokim dowódzcą wojsk sprzymierzonych!« I tu rozciągał listę krótką imion nieznanych, obojętnych szlacheckich i wiejskich, a za każdym odczytem nazwy dodawał szyderczym tonem: »to piekarz, to rzeźnik, to dawny służalec z wojska, to szewc! — i owoż burza, owoż strachy, którémi waszą miłość kłopocą i nawet u łoża śmierci braterskiéj śmią zdybywać z podstrojoną miną?« — »Właśnie, że przy łożu brata nabyłem pewności!« odparł król. — »Czego?« przerwał prędko Ożarowski z zwyczajnym swym giestem, podrzuciwszy ramiona i wspinając się na palce, »Czego? najjaśniejszy panie!« — »Tego,« odrzekł mu spokojnie Hugo, »o czém sam hetman faktycznie donosisz — wzburzenia ludu! Wasz zwitek nie jest prostym spisem imion dla monarchy, nie jest nic nieznaczącym wypadkiem dla polityka. Wasz zwitek to kilkanaście głów, na które kat czeka; wasz zwitek, to głos roszczeń wewnętrznych, które z piekarzów, rzeźników i szewców mówią, związkiem jednym, wolą i chęcią jedną, politykowi czasowemu nie tajną!« — »Zapewne,« zagadł Ożarowski szczypiąc, »że takiemu politykowi, jak dostojny podkanclerzy, może ten związek i nie tajnym i po myśli? raczéj na myśli, chciałem powiedzieć.« — »Mości hetmanie! na myśli i po myśli u mnie dobro kraju! nie wiem, jak komu, ale mam w to, że przyboczni rajcy królewscy więcéj mają na myśli siebie, jak króla, swą własność, jak własność ojczyzny; że u nich urząd i znaki urzędu liberyą, którąby chcieli na coraz złocistszą zamieniać! Ja kapłan, u mnie Chrystus, łamiący swój chleb z rzeszą, mistrzem; ja podkanclerzy, u mnie dawcą pieczęci i dobrodziejstwa król; ja człowiek, u mnie ludzie braćmi: Chrystusa czyny przykładem mi, kanclerza powinność świętością, a głos bratni ucisku lub bolu przestrogą! Rybacy, ci to chodzili z ewanjelią, a przecież jéj się teraz i hetman nie wstydzi!« — »Być może! a być może, że to, co mi się niczém wydawało,« przerwał chrypliwie Ożarowski, »z większą wiedzą kanclerza większych nabrało rozmiarów. Prosim o ich udzielenie, gdzie? jaki związek? kto w nim? kto burzą włada? projekta, widoki? Wam to pewnie nie tajno, kiedy tak straszno rozwarliście postrach, prosimy, prosimy! lista może nie zupełna? może to nogi związku, co pełza w zniszczenie króla, na rozerwanie związków kraju naszego z dobrodziejnym nam sprzymierzeńcem? Wy o głowie wiecie i o ramionach tego nowego Dawida? prosimy! prosimy!« i zgiął się nad zwitkiem, jakby do pisania nowych imion, i popatrzył szyderczo w twarz Hugona. Czekał, podrzucał ramiona; ten zaś milczał i szerokie ręce okrzyżował na piersi. — »Najjaśniejszy panie! podkanclerzy milczy, podkanclerzy wie, podkanclerzy powinien wydać!« szczebiotał Ożarowski, »powinien! choćby pierwsze imie buntownika było jego własne!«

Król z powagą podniósł źrenice na hetmana, lekkim uśmiechem przyjął jego zapalone wyrazy i spuścił głowę. — »Ha!« rzekł Ożarowski uraźliwie, »może już zwierzenie nastąpiło; mnie niegodnemu tajemnic Trydy, nie pozostało może, jak dosłuchiwać ostatnich bełkotań

popularnego Sfinxa! ale wasza miłość, królu, nie pojdziesz w przekór dobru publicznemu: z waszych ust dostojnych hetman dalszych rozkazów posłucha i tajemnic się dowie! Dość mi na ich imionach królu! resztę mi powinność wskaże, co z nimi zrobić.« — »Jakto!« odezwał się król oburzony, »wy mnie inkwirować myślicie, panie hetmanie? wy we mnie ciągle stolnika widzicie? O, zmiarkujcie się, panie Ożarowski, bo kto hetmana wojsku przełożył, może hetmana wojsku odebrać!«

Na te słowa zadrzała Lully, jéj jedyną podstawę zemsty zagrożono, gałąź, któréj czepiła się upadająca faworyta, była trzciną tylko, gdy ona w nią wierzyła, jak w drzewo zbawienia. Ale właśnie tam, gdzie byłby się dąb skruszył, trzcina wytrzymała! Na silny podmuch królewskiego oburzenia Ożarowski umiał się ugiąć, niby żałować, przeprosić niby w krótkiéj niziutkiéj mowie, rozbroić gniew królewski, przekłamując prędkość i nieobaczność swoję na żarliwość o dobro króla i kraju; a wiedząc, z jak słabą powolnością król odpuszczał winy, a z jaką ciężkością przyszłoby mu dopełnić obietnicy groźby, mgnieniem ocz przeszedł z mowy tłumaczenia się w ton zaczepki: »I nie w inakszym celu, najjaśniejszy panie!« kończył poczęte przeprosiny, »przymówiłem kanclerzowi i ciągle będę przymawiać, aże dowód dowodowi odpowie! Bo i czegoż chcą ci panowie ze swojémi projekty?« tu zwrócił się dumnie do Hugona, »jakichsiś kroków gwałtownych zrywaniem uchwał sejmowych, traktatów tak świętych i święcie przyjętych? Niech się pytają w nasze żywe oczy was króla i pana, kędyście sami pierwsze najczystsze pokładli zaufanie? Czy moc, co wam nadała koronę.....« — »Nikt nie dał!« odezwie się Hugo. — »Nie nadała, ale dopomogła chcę mówić; czyż ta sama monarchini ręka miałaby swoją zwalić budowę? czyż wreszcie proszonych chcianoby za bramy wyrzucać, aby sobie łacniéj zbudować bankiet samowładztwa? O, wiem! oni nie odpowiadają waszéj rachubie, bo tron mocniéj stoi osłonięty ich piersią, a jeżeli to bez kosztów ziemi i ludzi obejść się nie może, toć dobrym patryotom imać ten powód do zarzewia buntu, którego pierwsza iskra musi paść na tron królewski? Bankietu! bankietu im się chce, przy którymby spijali zdrowia, ażeby w końcu pijani na jeden okrzyk burzliwy się zgodzili! Sobótek! sobótek goralskich! przy których spaliwszy podpory wielkości narodu, osmoliwszy starożytne domy i imiona; zrównawszy ogniem wysokości, co im w skokach bachanckich taranem stoją, mogliby się rówienniczym tańcem nahasać! I gdy my z zagranic wodę na ten ogień niesiem.....« — »Złoto mów, złoto, panie hetmanie! a coś prawdy w téj wielkiéj mowie usłyszym. Bankiet? do bankietu trza zbytków szczęścia, a oni go dawno, jużeod Zygmuntów nie znają! Do sobótek trza ognia; wygorzał on, wygorzał w starożytnych zgliszczach domów przedniejszych! cóż, chcecie, aby w ubogich lepiankach się trzymał? O! gdyby tam był, jużby się dawno ofiarne paliły dymy!« — »Piękna żałoba, panie podkanclerzy! i w porę głęboki wasz umysł przecież raz wydał, co myśli!» — »A my dotąd połapać nie możem, co hetman zamyśla! Bo na Boga! jeżeli tak drzysz za tém, aby prędzéj czyjmś sługą zostać, na co ten ogień hetmanie! dość milczkiem spełniać rozkazy...« — »Dość tego!« przerwał król. — Ożarowski przygryzł wargę, skupił się jak pająk tarantala, gdy nagabany chce parsknąć jadem w nos przeciwnika; szarzał oczyma to po Hugonie, to po uśmiechu Grabowskiéj; i byłby odciął do żywego, gdy wtém jeden rzut oka na króla dał mu poznać, że cięciwa gniewu Stanisława tak była mocno sprężona, iż jeszcze włos jego uniesień, a cały wpływ Ożarowskiego przepadł na wieki. I z pająka on teraz ślimak! pieni się jeszcze, ale w mowie nie znaczno, czy to piana złości, czy ślina czołgającego dwurożka; słodko drzy głos jego, pomówisz: on niesłusznie urażony głaszcze i płacze słowami. »O! bogdajby w słowach waszych, mości podkanclerzy, tyle było ostrości, ilebym na nią zasłużył, gdybym aże musiał czytać ukazy do kochania mego kraju i króla pana! Bogdajby szczera, prosta wasza dusza miała choć jeden ból tak gwałtowny, jaki mnie obsiada, gdy z politycznych ślizgań się moich ktoś tak ohydne rzuca na mój człowieczy charakter powtarze! I oni gardzą, że ktoś po lodzie nierównym postępuje krokiem! I oni skarzą, że ktoś śród burzy na przewrót suknie oblecze! i oni myślą o sobie, że politycy! dla tego, że sami mając szorstkie nogi łatwo się z ludem, chcę mówić z lodem oczepią; a nie mając pięknéj sukni na sobie, sukni, coby się w kronikach Ożarowski, Potocki etc. pisała, nie dbają, że je błoto zbryzga! I oni patryoci! bo w czasie maszkary chodzą bez masek! Na co im maski, gdy ich twarze tak obojętne dziejom, narodowi, że ich i bez maski nikt nie zna. Muchy to! muchy, co pstrzą wszędzie. Ale miłościwy królu, muchy i lwowi dokuczą!« Zdjął łzę z oka, westchnął krótko, jakby się wstydził, że go mogło coś zaboleć, i kończył: »Najjaśniejszy panie! na dzień maszkary dość było słów; w dzień czynów bardziéj rozświta prawdziwe oblicze. Sądź nas, najłaskawszy panie! niech wszyscy sądzą! i waszych przenikliwych oczu niewieścich;« — słodziutkim cedził głosem: »tych pięknych siwych oczu Ożarowski pytać się o sąd nie wzbroni, czy hetman nie był kiedy Polakiem? czy w dworaków tłumie zapomniał się w urzędzie i w ra-

dzie?« To mówiąc nagle ku pani Grabowskiéj się zwrócił. Zdumiona, zmieszana tak prędkim lisim zwrotem mówiącego, Grabowska nie znalazła słów w piersi, oddechu nawet, tém bardziéj, gdy wszyscy popatrzyli na nią, gdyż każdego, jak ją, zdumiał ten wybieg mówcy, gdy sam król nawet zwiedziony szczerém niby zaufaniem w sobie hetmana, co do swéj przeciwniczki widocznéj tak śmiałe podniósł pytanie, wziął w końcu milczenie Grabowskiéj za akt przekonania i zachwiał się. Ożarowski to pojął i zręczny szermierz krok po kroku bił w zwątlony umysł królewski. Już teraz i list prymasa był w jego ręku i z lekka szyderstwem zacinał krótką przestrogę bratnią, i niby żałował nieboszczyka; ale z owém słówkiem, co to z daleka mówiło do króla o otumanieniu, o biednéj głowie spracowanéj bolem, co nie tak czysto pojmować mogła: że wreszcie natoczył Stanisława w swą stronę, zwichnął, zarozumował, zakrzyczał, aże w końcu spracowany król długiemi namysły: »Róbcie co chcecie!« zawołał, »ja nic nie wiem, Hugonie! jam nic nie słyszał, hetmanie! Co Ożarowski wie, niech hetman powie! co Stanisław wie, król nie powie! Umywam ręce, ale Bóg widzi niewinne! Róbcie co chcecie, ja nic nie wiem i wiedzieć nie chcę!« Skłonił się prędko, na łoże brata szybkie porzucił wejrzenie i wyszedł.

Wychodzili wszyscy. Lully tuż za królem. Ożarowski uczepił się do boku jego i w owym tryumfalnym pochodzie ostatnich dobywał sił wymowy, wyjaśniających jego widzenie rzeczy; za nimi Grabowska pomieszana, tłocząca się wraz z Lully, ni tryumfująca, ni tracąca nadzieję, czekająca tylko chwili, aby się przymknąć do ucha króla; nie tak łacna w porzucaniu walki, nie tak upadająca za pierwszym ciosem. Za nimi Hugo ruszył sążnistym swym krokiem; czepił go ksiądz Mejer, i obaj, patrząc się na ten ogon wlekącego się orszaku króla, uśmiechnęli szyderczo.

»Toż koniec? i takiż koniec, mości podkanclerzy?« zagabał ksiądz Mejer z cicha. — »Czekaj prałacie,« odparł Hugo, „to wywołanie! to wyzwanie dopiero! dworacy, my dworackie wywołaliśmy siły; walkę partyi narodu przenieśliśmy w walkę pokojową dwóch matron. W takich czasach i pod takim królem, mój kapłanie, życie publiczne, obradowe, hałaśliwe przodków życie zodmieniało się na prywatne pokątne gabinetów intrygi! Przed Augustem Zygmuntem na piotrkowskim sejmie, gdy posłowie nasi poklękli w oba kolana z prośbą, by rzucił dla nich swą Basię, nie za prostą oni odmianą połowicy króla klęczeli; oni prosili, by życia prywatnego nie przenosił nad publiczne życie, by komnatnego głosu mniéj chciał słuchać, jak głosu w narodzie. Nie przemogli, nie uprosili, szala kobiecego wpływu przegięła się, pomimo całego wąsatego krzyku Jana z Tęczyna. I jabym teraz, jak on w ówczas, wołał lepiéj Solimana widzieć na tronie, jak dwie kobiety! Bo Soliman musiałby abo brodę zgolić i żegnać się krzyżem, albo zżegnać się z głową. A teraz, czekajmy końca! Tym końcem będzie jaki wieczór lub ranek, będzie komnatna walka dwóch matron; a szczęście narodu już ino od szczęścia faworyt zależy!« — »To jednak dziwne turnieje!« odparł ksiądz Mejer niespokojnie, »ktoby ich czekał? My dopełnili swego; godzina mowy przeszła, godzina czynów bije. Jednego wieść nasza zabiła!« i wskazał na prymasa, »a drugi ją odebrał i strawił!« — »Strawił, myślisz?« rzekł podkanclerzy, »ja myślę, że go strawi!« — »Bądź cô bądź, bracie,« dodał Mejer, »godzina czynów bije! a ja już więcéj wstrzymywać nie myślę.« — Tak szeptając wychodzili z alkowy zasępieni obaj. Sam jeden zostałem kończyć obraz zaczęty; ale myśl moja pobiegła za innym zaczętym obrazem, któremu tłem gra wielka dworaków, kolorytem dwie miłości, malarzem naród.

Długi przeciąg czasu minął, mój sędzio, między tą sceną wyzwania, jak ją nazwał Hugo, a istotną walką, któréj także, dzięki memu portretowi świadkiem byłem. Groźne wypadki nastąpiły po owym świście objawionych passyi; tajemnica poczęła chodzić z odsłoniętą twarzą; a najprzód zdjęli maskę panowie za Ożarowskiego przykładem. Po składzie rzeczy miarkowałem, że w zamku tryumfuje Lully. Król przybrał rolę nie działającego przez się człowieka. Czy to było skutkiem większości jego charakteru, czy wypadkiem głębokiego wyrachowania, aby w każdym razie mógł podać niczém nie związaną rękę przeważającéj partyi, trudno odgadnąć malarzowi. Historykom Stanisława to zostawmy. Grabowska zamknęła się w letnim swym pałacyku Łazienek, lubo zwykle o téj porze zamieszkała w mieście: w zamku zaś niewidziano jéj od owéj pamiętnéj sceny u prymasa. Niebytność swoją kryła przed ogólném uważaniem pokrywą ciężkiéj żałoby; co dość zdało się podobném, ile że każdemu jéj stósunki z książęciem tajemnémi nie były. Wreszcie przyszło do tego, na czém Grabowska zakładała wszystko, że Stanisław zatęsknił po niéj. Rana świeżo zadana sercu królewskiemu śmiercią brata, nie miała troskliwéj piastunki w roztrzepanéj Lully: owszem francuzka odganiała od niego to wspomnienie tém więcéj, że myśl o bracie zaraz naiwnie natrącała Stanisławowi ów bilet, spotkanie, namowy i cały dramat przebytéj walki. Już nie raz król, co rzadko zwykł był czynić, wspomniał o chętném porzuceniu zamku, o świtającéj wiośnie; często przejeżdżał

poszóstną karetą Łazienki, nie wstępując wprawdzie ni do swego, ni do Grabowskiéj pałacyku; bo w każdéj przejażdzie usłużna Lully towarzyszyła królowi, i umiała tak nakierować wolą jego, że z tego zachcenia, co tyle mogło dawać nadziei jéj rywalce, urabiała dla niéj coraz większe dokuczenie. Tak każdy objazd Łazienek, stawał się hasłem u dworu do ogólnéj przejażdżki i cały ogon dworskich pojazdów wlókł się za Stanisławem i łoskotliwym swym biegiem po pod oknami biednéj samotnéj łazienkowskiéj pustelnicy przelatywał z wrzaskiem i wesołością, jakby urągając zapomnianéj. Nieraz i ja wplątany zaproszeniem którego z szambelanów, oblatywałem to ciche schronienie dworaczki, i nie raz zdało mi się widzieć, jak pod czas trzasku biczów i kół turkotu, perskie firanki w oknach zapuszczone zadrgały ciekawą szarpnięte ręką i w ich małéj szparze muślinów siwe oczy zaklętéj mieszkanki świeciły.

Środa to było. Wieczorem odbieram wezwanie kobiecą ręką kreślone, iżbym z obrazem prymasa, który właśnie co wykończył, jutro rano w pałacu Łazienek się stawił; że takie jest żądanie proszącéj i z wolą króla zgodne; podpis: Grabowska.

Więc mój obraz, jak on misterny węzeł gordyjski, zdał się rozwijać nici rozwlekłe intrygowego kłębku. Był to ostatni tydzień przed Wielkanocą; w ostatni czwartek, między czwartą godziną rano wpadł do mnie nagle tenże sam posłaniec, co mi wczoraj kartkę wręczył i zaklinał, bym się zbierał do Łazienek, gdyż król zbudzony i w rychle dla pilnéj sprawy uda się tam do pałacu, gdzie go już pani Grabowska czeka. Jadąc uważałem ruch dość znaczny na krakowskiém przedmieściu i święto-krzyskiéj ulicy mimo porannéj doby.

»Bośmy już właśnie zaczynali!« przerwał Bacciarellemu mój dziadek, i w niebieskich jego oczach coś młodzieńczego, wesołego a razem ognistego błysnęło.

Przybywam do Łazienek i niezabawem turkot królewskiéj karety zatrząsł szybami pałacu. W zwierciadlanéj sali, w dogodném miejscu ustawiłem portret prymasa. Król wchodzi, za nim Grabowska z zapłakanémi oczyma, w czarnéj grodeturowéj robie z krótkiémi rękawy po łokcie, a od nich aż do ramienia czarne bryzy koronek kładły się jedna na drugie. Ogon szeleszczący długi, dworskiéj etykiety czynił jéj kroki poważnémi; zdała się w téj chwili ową smutną kapłanką cieni, którą przy urnach grobowych rzeźbiarz w pół zgiętą zwykle rozrzuca, by płacz wywołać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Z Paryża donoszą nam, iż jakiś krewny biskupa Kowalskiego odznacza się przez swój talent w płaskorzeźbach. Zamyśla on wydawać obecnie medale z wizerunkami królów polskich, ryte na srebrze i bronzie.

Pan Berwiński gotuje tom drugi swoich »powieści wielkopolskich.« Pracuje on także nad dramatem narodowym.

W Monachium podziwiają obecnie nowy obraz jenialnego malarza Maës, znanego szczególnie przez swą modlącą się Rzymiankę. Wyobraża on S. Magdalenę, modląc się z pokorą i wznoszącą ręce i oczy ku niebu. Jak w Rzymiance tak i w tym obrazie, szczególnie połączenie światła dziennego z światłem lampy, główny sprawia effekt. — Najnowsze dzieło Lessynga jest zabranie w niewolę papieża Paschalis, a Bendemanna, Babel i Sion.

Nur nicht nach Norden jest dziełko dość zajmujące, które przed niedawnym czasem wyszło w Lipsku u Brokhausa. Między innémi znajduje się w dziele tym kilka artykułów, tyczących się królestwa polskiego i naszéj prowincyi. Główniejsze z nich są der Posener Landtag, der Märtyrer, polnische Zustände i t. d. Jakkolwiek parcyalnie napisane, mieści jednak wiele zdań w sobie, które okazują, iż autor zna naród polski. Tak n. p. mówiąc o dziełku pana Grevenitza: der Bauer in Polen, i o stósunkach chłopów względem panów, ironicznie powiada: »On zaleca także szkoły dla chłopów, jak nierozsądnie! Nasi magnaci Zamojscy, Czartoryjscy, Lubomirscy, Potoccy, Sułkowscy, Wielopolscy i inni, tak długo imie Polaka uświetniali, a przecież ich chłopi ani czytać ani pisać nie umieli. Czemuż się teraz mają uczyć?«

W Warszawie wyjdzie wkrótce trzeci tom »Pamiętnika sceny.« Zawierać ma wiadomości, związek ze sceną krajową, z jéj historyą i literaturą mające. Dołączona jest historyczna wiadomość o teatrze Lwowskim i Wileńskim, oprócz tego znajdują się wyjątki z dzieł wyborowych w Warszawie, w Wilnie i w Lwowie przedstawianych. Nakoniec portrety znakomitych artystów i artystek Warszawskich.

Pan Bronikowski pracuje nad przekładem topografii Mazowsza Jędrzeja Święcickiego, do którego myśli dołączyć przekład reszty naszych starożytnych jeografów. Późniéj ma zamiar przełożyć tragików greckich, szczególniéj Aeschyla i Sofoklesa.

Nasze zdanie o balach i strojach w Nrze 46. Tyg. narobiło wiele wrzawy. Dodajemy tu. iż na jednym z owych wieczorów pewna dama miała za 4200 złotych pol. suknią, która dla tego była tak drogą, iż jak mówią, była z blondyn i bez szwów. Strój innéj damy na tymże wieczorze ceniono na 60,000 złt. pol., jak z pewnego dowiedzieliśmy się źródła.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*